

News BAZAAR



Teatr

GRAM TO PIERWSZY RAZ

*Bywał już lichwiarzem, komornikiem, Jezusem oraz reżyserem operowym. Od kilkunastu miesięcy najważniejsza dla **Andrzeja Chyry** jest rola, którą gra poza sceną i planem filmowym – rola ojca. Rozmawiał Rafał Sławoń*

RAFAŁ SŁAWOŃ: Żebyśmy mieli to już za sobą, zacznę od tego, o co zawsze wcześniej albo później jesteś pytany: Zastanawiałeś się kiedyś, co by było, gdyby nie przytrafił ci się *Dług*?

ANDRZEJ CHYRA: Kiedy dostałem tę rolę, reżyserowałem głównie w telewizji. Zdarzały się też jakieś eventy... Być może zostałbym po prostu przy tym. Byłbym bardziej reżyserem niż aktorem.

Które z rzeczy zrobionych przez siebie przed *Długiem* cenisz sobie najbardziej?

W sumie nie było tego za wiele... Mój spektakl *Dyskretny urok faunów* miał fantastyczną recenzję w gejowskim piśmie – a że rzecz dotyczyła gejów, mogę więc chyba uznać, że wyszło, jak należy. Dobrze wspominał też telewizyjny show *Wieczór z Alicją*. To było zaskakujące doświadczenie zawodowe. Poza tym spotykałem tam fajnych ludzi: Umberto Eco, Krzysztofa Krawczyka...

Miałeś poczucie, że nie robisz rzeczy na miarę swoich możliwości?

Może trochę, ale przyjmowałem to raczej spokojnie.

Przed *Długiem* znaliście się z Krzyskiem Krauze?

Tak. Pracowaliśmy wcześniej nad scenariuszem, który nigdy nie został zrealizowany, i tak się zaprzyjaźniliśmy. Ale roli w *Długu* nie napisał z myślą o mnie. Mam nawet wrażenie, że zaproponował mi ją w akcie desperacji, bo jak przyszło co do czego, to nie bardzo wiedział, kogo właściwie w niej obsadzić.

Po *Długu* twoje życie bardzo się zmieniło?

Zrobiłem się zajęty, na czym ucierpiało moje życie towarzyskie. *Dług* się nie poddawałem, ale jednak musiałem odpuścić (*śmiech*).

Skończyło się *dolce far niente*?

Mieszkałem wtedy pod Warszawą, przy samym lesie. Nie byłem nigdzie na stałe zatrudniony, więc jak nie musiałem, to nawet nie jeździłem do miasta. Było bardzo przyjemnie. Psy biegały, ptaki śpiewały. Prawie jak u Czechowa.

Jeśli chodzi o wybór ról jesteś bardzo wybredny?

Staram się, chociaż czasem mam wrażenie, że zaplątałem się w coś niepotrzebnie.

Co decyduje o tym, czy przyjmujesz propozycję?

Muszę poczuć, że intuicyjnie do mnie pasuje, że mam dla siebie przestrzeń. Potem myślę o ludziach, z którymi mam pracować. Ale czasem jest i tak, że pojawia się potrzeba zmierzenia się z czymś, co z różnych powodów jest ode mnie odległe. Traktuję to wtedy jako wyzwanie.

A pieniądze?

Raz wzięłem udział w reklamie, sporo lat temu, kiedy jeszcze trochę płacili (*śmiech*). To była reklama piwa, w której zagrałem z Jankiem Fryczem. Dość abstrakcyjna. I to zrobiłem dla pieniędzy. Ale zwykle to nie jest wyznacznik. Przede wszystkim staram się zachować równowagę między potrzebami merkantylnymi i dobrym samopoczuciem. Tak, żeby nie stało to w sprzeczności ze mną.

Teatr czy film?

Teatr to najczęściej dużo lepsza literatura niż film. I inny rodzaj pracy. Ja od lat pracuję właściwie tylko z Krzyskiem Warlikowskim i to mi wystarcza. To są zazwyczaj bardzo intensywne próby, które – najkrócej mówiąc – trenują umysł... Na pewno nie wyobrażam sobie siebie jako aktora na etacie w teatrze repertuarowym.

Niemniej w początkach kariery byłeś na etacie w teatrze w Łodzi...

Po roku uciekłem stamtąd do Warszawy, bo miałem poczucie, że spotkałem się z ludźmi nie do końca zadowolonymi ze swojego losu. To doświadczenie zmobilizowało mnie. Zdałem na reżyserię, bo poczułem, że po trzech latach od skończenia szkoły – w tym był jeszcze rok wojska – wypadam z obiegu. Trzeba było otworzyć sobie nowe możliwości.

Byłeś w wojsku? Co tam robiłeś?

Siedziałem w czołgu. To znaczy przez cztery miesiące siedziałem w czołgu, a przez następnych osiem byłem instruktorem teatralnym w klubie garnizonowym. Potem wzięliśmy nawet udział w przeglądzie teatrów garnizonowych w Twierdzy Modlin, na którym spotkałem paru kolegów, między innymi Piotrka Gąsowskiego.

Wróćmy do Warlikowskiego, który pewnie nigdy w czołgu nie siedział. Czy jego spektakle, choćby z racji swojej długości, nie są dla aktora wykańczające?

Zdarza się, że bywają. Dla mnie najbardziej wykańczająca jest (*A*)*pollonia*. Trudne jest to, że jestem *długo* na scenie, właściwie bez zajęcia, a mimo to muszę cały czas koncentrować uwagę. Jednak jeszcze bardziej wykańczające mogą być próby. Tak było z *Kabaretem warszawskim*, naszym najnowszym spektaklem.

Dlaczego?

To był taki moment, że zmienił się system pracy. Wcześniej cały spektakl komponowaliśmy razem, a tu pojawił się dramaturg. To oznaczało, że nie zawsze szliśmy w kierunku, który nam odpowiadał. Oczywiście demolowaliśmy, co się dało, ale przy okazji to demolowało nas samych.

News **BAZAAR**

OD LEWEJ: Andrzej Chyra z Krzysztofem Warlikowskim. Aktor zagrał w wielu jego sztukach: w *Hamlecie*, *Bachantkach*, *Burzy*, *Dybuku*, *Aniołach w Ameryce*, *Kabarecie warszawskim*, *Tramwaju* (na zdjęciu z Isabelle Huppert) i w *(A)pollonii* (powyżej).

Mysł o tym, że wieczorem masz wystąpić w teatrze, sprawia ci przyjemność?

To zależy od sztuki i od dnia. Nie gram dużo, choć ostatnio w Paryżu musiałem wystąpić z rzędu w 46 spektaklach i pod koniec miałem poczucie przesytu.

Mowa o *Tramwaju zwanym pożądaniem*, w którym grasz z Isabelle Huppert. Z francuskim jesteś już za pan brat?

Coraz więcej rozumiem, coraz lepiej mówię, ale do ideału jeszcze daleko.

Co myślisz o sobie jako aktorze?

Nie mam wielkich zdolności transformacyjnych, tak jak aktorzy, którzy potrafią zmieniać skórę. Muszę więc więcej pracować głową, niż grać sobą. Chociaż i to mi się zdarza.

Które role rozwinęły cię jako aktora?

Te wczesne były takie. Tak jak o *Długu*, w którym miałem okazję pierwszy raz zrobić coś pełniejszego, myślę o *Bachantkach* Krzyska Warlikowskiego. Tutaj też musiałem trochę przeskoczyć siebie. Ulubioną rolą mojego ojca jest Roy Cohn w *Aniołach w Ameryce*. I to jest cenne, bo wiem, jakie on ma upodobania i że zwykle patrzy dość krytycznie. To zresztą rola, której nie chciałem przyjąć. Wydawało mi się, że jestem za stary, ale w końcu dałem się Krzyskowi namówić.

Nie ciągnie cię w stronę rozrywkowego repertuaru?

Myszę, że to mnie już ominie. Czasem trochę jakiegoś dowcipu uda mi się sprzedać, ale nie sądzę, żebym miał *vis comica*, która mnie do tego predestynuje. Od niczego się nie odzegnuję, ale też wielu takich propozycji nie dostaję.

Za to dostajesz z opery.

Wiele wskazuje, że wkrótce wskoczę w ten nurt po raz trzeci, i to na bardzo głęboką wodę, ale jeszcze za wcześnie o tym mówić.

Twój romans z operą zaczął się od *Graczy* w Operze Bałtyckiej.

Ówczesny dyrektor opery, Marek Weiss, złożył mi propozycję. Zaskoczyło mnie to, ale muszę przyznać, że miał intuicję. Bo muzykę napisał Dmitrij Szostakowicz, który jest mi bardzo bliski. To mało znana, nieukończona opera. Libretto, oparte na dramacie Gogoła, sprawia, że jest bardzo teatralna, a to mi odpowiadało. Zabawne też, że nie ma tam żadnej kobiety.

Publiczność i krytyka przyjęły *Graczy* bardzo życzliwie.

Potem wielkim sukcesem okazała się *Czarodziejska góra*.

To trochę inna sytuacja i inny rodzaj pracy. Występowałem tam w podwójnej roli: współtworzącego libretto i reżysera. Nad tekstem pracowaliśmy wspólnie z Małgosią Sikorską-Miszczuk. Trwało to ponad rok, bo chcieliśmy wszystko dokładnie rozgryźć. Trzeba było ustalić, które wątki ciągniemy, a z czego rezygnujemy. W końcu uznałem, że pisanie wymaga samotności, i... ją z tym zostawiłem.

„Uświadomiłem sobie, że ja i aktorstwo jesteście partnerami i nie muszę przed nim padać na kolana”

ANDRZEJ CHYRA

Jako reżyser jesteś krzykliwy?

Raczej złośliwy, krzykliwy jestem częściej jako aktor...

Mówiliśmy o kilku twoich rolach, ale nie powiedzieliśmy jeszcze o tej najważniejszej – roli ojca. Jak się w niej odnajdujesz?

No to mnie masz... (*śmiech*) W pewnym sensie to odrodzenie: nowe życie dziecka i moje nowe życie. Przedemną sporo wyjazdów i strasznie żałuję, że nie będę miał codziennie kontaktu z tym łebkiem. Ma dopiero kilkanaście miesięcy i jeszcze nie wszystko dokładnie wyraża, ale już sporo rozumie. To niesamowite, ile się w nim dzieje, jak ujawnia się jego charakter.

Dziecko pozwoliło ci nabrać dystansu do aktorstwa?

Nigdy nie traktowałem aktorstwa z nabożeństwem, więc nie muszę nabierać do niego dystansu. Nauczyłem się tego w ciągu tych 12 lat po studiach, kiedy prawie nie grałem. A jak już miałem zagrać pierwszą dużą rolę w *Barbarzyńcach* Gorkiego i poszedłem do Teatru Współczesnego, który wtedy był traktowany jak świątynia sztuki, to w garderobach zamiast namaszczenia poczułem kurz. Zobaczyłem teatralną codzienność i uświadomiłem sobie, że ja i aktorstwo jesteście partnerami i nie muszę padać na kolana.

A jak dziecko przyjdzie za kilkanaście lat i powie, że chce zostać aktorem?

Nie mam z tym problemu.

Przecież to może być bardzo frustrujący zawód...

Jeszcze przed egzaminami wstępnymi Piotr Cieslak powiedział mi, że aktorem opłaca się być, jak się jest Fronczewskim. I coś w tym jest. W tym zawodzie można jednak iść różnymi ścieżkami. Poza tym od momentu, kiedy chce się zostać aktorem, do bycia nim długa droga. Mniej więcej 10 lat po szkole spotkałem Mariusza Bonaszewskiego, który grał wtedy w Dramatycznym *Kordiana*, i mówię mu „Mariusz, ja to chyba przestanę być tym aktorem”. A on mi na to: „Żeby przestać, trzeba zacząć”... ■